

Zacznij opowiadać od końca (fragment powieści *Ekscentryczny uniwersytet*)

Przełożyła Izabela Zajac

– Dotychczas, szanowni państwo – zaczął Wiktor Pawłowicz Bochnia – zauważyłem na tym ekscentrycznym, nastawionym głównie na filologię słowiańską uniwersytecie jego literaturoznawczą stronę. Nadszedł czas na językoznawstwo reprezentowane przez Aleksandra Kiryłłowicza Żupreja.

Gdybym, moi drodzy, opowiedział niewtajemniczonym mieszkańcom miasta, czym zajmuje się Aleksander Kiryłłowicz, zdumieliby się. Nie mieściłoby się im w głowie, że ktoś przychodzi do pracy i przez cały dzień zajmuje się jakimś słówkiem, któremu poświęca swoją uwagę już wczoraj, tydzień temu i miesiąc temu. Wyraca je na wszystkie strony, robi notatki, grafy, a kiedy o piątej wraca do domu, czasami musi się na dwie godziny zdrzemnąć, taki jest wyczerpany i znużony tym słówkiem. Ktoś mógłby pomyśleć, że jako członek jakiejś tajnej sekty bada, czy słowo nie kryje w sobie jakiejś magicznej mocy, czy wreszcie się nie okaże, że to właśnie ono jest częścią jakiejś tajemniczej, mistycznej formuły zaklęcia. Ale rzeczywistość jest zupełnie inna. Aleksander Kiryłłowicz Żuprej przygotowuje referat na konferencję naukową w Użgorodzie, który będzie dotyczył zmian historycznych, odniesień międzyjęzykowych, zróżnicowania i spektrum znaczeniowego danego słówka, które w tytule swojego referatu określi mianem leksemu. Dzięki niemu zakwateruje się w Użgorodzie w hotelu „Kijów”, pospaceruje bulwarami nad rzeką Uż i przywiezie do domu pięć słoików pikantnej musztardy. Po powrocie zajmie się następnym słówkiem i, choć nie wystąpi z nim na żadnej konferencji, wykaże się takim samym zaangażowaniem jak w przypadku tamtego. Po nowym leksemie także czasami musi się w domu godzinkę – dwie przespać.

Jeśli u niewtajemniczonego mieszkańca miasta zdziwienie wywoła to, ile czasu nauczyciel akademicki poświęca jednemu, jednemu słówku, to już na pewno przerazi go fakt, że ten człowiek, który otrzymuje godziwe wynagrodzenie, uczy zaledwie dziesięć godzin tygodniowo i w dodatku nauczanie uważa niemal za odpoczynek, bo może przy okazji pospacerować, wygadać się i chyłkiem poprzeciągać. Przy pracy nad słówkiem jest to niewykonalne, bo w jego klitce na ulicy Mingosza nie ma na to miejsca. Całą przestrzeń zabierają słowniki, tomy zbiorowe z konferencji naukowych, leksykograficzne publikacje książkowe, ekscerpty, papier kancelaryjny, zeszyty i inne materiały. Pomieszczenie to przypomina pracownię poety Filipa Filipowicza Ducara w czasie jego największej euforii twórczej. Całe szczęście, że gabinety asystentów nie podlegają kontroli komisji

akredytacyjnej. Byłaby wstrząśnięta, ujrawszy, że Aleksander Kiryłłowicz ułożył część słowników w umywalce, która wprawdzie nie działa, ale na prostodusznej, wiecznie zachmurzonej i nieustępliwej komisji akredytacyjnej zrobiłaby wrażenie sprawnej. Do maleńkiego pomieszczenia po brzegi wypełnionego materiałami badawczymi w zakresie leksykografii mogliby wejść najwyżej dwaj członkowie komisji. Aleksander Kiryłłowicz całą przestrzeń ma rozplanowaną tak, że poza nim zmieści się tylko jedna osoba, zazwyczaj ta, której uda się przedrzeć wąskim przejściem pomiędzy książkami do krzesła przeznaczonego dla osób przychodzących na konsultację. Nie dziwi wcale fakt, że Aleksander Kiryłłowicz, znużony przestrzenią i takim czy owakim słówkiem, zapragnie czasami zastanowić się nad problemem leksykalnym podczas spaceru na wolnym powietrzu. Do niedawna korzystał w tym celu z pobliskiego lasku strzelniczego, a dokładniej parku przy koszarach sąsiadującego, jak wiecie, z ruchliwą drogą.

Do niedawna, bo teraz już nikt nie zmusiłby go do wyjścia na posypaną żwirem parkową alejkę. Pewnego razu pogrążonego w myślach nad jakimś leksemem zatrzymali bowiem dwaj mężczyźni, pytając, dlaczego spaceruje w tym miejscu za dnia, czyli w godzinach pracy. Wyrwany ze swoich myśli automatycznie, pospiesznie wyjaśnił, że intensywnie zastanawia się nad pewnym rosyjskim słowem. Mężczyznom, pracownikom tajnych służb, wydało się to nadzwyczaj prowokacyjne. Zabrali go ze sobą i po ponad godzinnym oczekiwaniu w jakimś cichym, odizolowanym pomieszczeniu, przesłuchano go i spisano protokół. Wypuszczono go dopiero po rozmowie telefonicznej z kierownikiem katedry języka i literatury rosyjskiej, który potwierdził jego tożsamość i zainteresowania zawodowe.

Kierownik katedry i poniekąd inni wyżej postawieni pracownicy wydziału od tej pory zaczęli na niego patrzeć jak na człowieka, który ma powiązania z tajnymi służbami. Incydent w lasku strzelniczym i śledztwo interpretowano na różne sposoby. Według Aleksandra Kiryłłowicza nie bez znaczenia był fakt, że jego świętej pamięci ojciec, muzyk i krzewiciel kultury rosyjskiej, absolwent akademii sztuk pięknych w Petersburgu, wyemigrował z kraju i osiadł w tym mieście w 1921 roku. Po przygodzie w parku nikt nie robił żadnych wyrzutów Aleksandrowi Kiryłłowiczowi, ale on sam czuł, że nie ma już na wydziale takiej pozycji jak wcześniej. Kierownik katedry prawie przestał się do niego odzywać, a jeśli już się odzywał, to ograniczało się to do najbardziej koniecznych poleceń i spraw zawodowych. Nie padło już ani słowo na temat przyszłej przeprowadzki z kłitki do większego gabinetu. Jego bezpośredni przełożony zachowywał się tak, jakby zapomniał, że temat przeprowadzki podjął tuż po pogrzebie Iwana Petrowicza Nezwrátowa, a później regularnie przypominał o nim Aleksandrowi Kiryłłowiczowi, prosząc go o cierpliwość. Wymaga to bowiem powzięcia pewnych kroków, ale najpóźniej do końca semestru będzie mógł się przenieść. Nagle wszystko się urwało. Wiktor Kiryłłowicz nadal będzie pracował w swojej małej, ciasnej kłitce.

Jej przestrzeń zaczął zapełniać ekscerpcjami i innymi papierami już Iwan Petrowicz Nezwrátow, który uważał ją za swego rodzaju magazyn historycznych i współczesnych pism i dokumentów leksykograficznych i leksykalnych. Ten stan rzeczy trwał również

po tym, jak klitkę przyznano Wiktorowi Kiryłowiczowi Żuprejowi, jego uczniowi i aspirantowi. Iwan Petrowicz Nezwradow, starzejący się, coraz bardziej skurczony, ale wciąż pomysłowy kobieciarz liczył, że dostanie ją na konsultacje z wydziałowymi pięknościami. Pod pozorem pokazywania wytypowanej słuchaczce żywego materiału badawczego nieraz zamieniał się gabinetem z Aleksandrem Kiryłowiczem. W chwilach, kiedy Iwan Petrowicz korzystał z małej, ciasnej, zagraconej klitki, żeby móc przebywać jak najbliższej studentki, Aleksander Kiryłowicz mógł pospacerować i rozluźnić się w przestronnym gabinecie swojego profesora.

Z Aleksandrem Kiryłowiczem Żuprejem zetknąłem się zupełnie przypadkowo. Wyznaczono nas na członków komitetu agitującego, którego zadaniem było zaproszenie mieszkańców jednej z dwupiętrowych kamienic na ulicy Żniwnej na pochód pierwszomajowy oraz zachęcenie ich przy tej okazji, aby podjęli się ulepszenia swojego otoczenia. Ulica Żniwna znajdowała się niedaleko cegielni w rozległej peryferyjnej południowej dzielnicy, a każda z par agitacyjnych otrzymała polecenie udokumentowania wyników swojej pracy i przekazania tych materiałów do sekretariatu prorektora do spraw publicznych. Okazało się, że Aleksander Kiryłowicz ma w sobie coś z wrażliwości Iwana Petrowicza Gaszteja. Pod wpływem tego porównania zawładnęło mną jakieś dziwne, może trochę przewrotne, altruistyczne pragnienie przyjęcia na swoje barki ciężaru agitacji. Mój słabowity, przybłądły towarzysz, pomyślałem, którego z pewnością łatwo zranić, z ulgą przyjmie propozycję zwolnienia go od kłopotliwych rozmów i nieprzewidywalnych reakcji najemców, którym rozrzucony po mieście uniwersytet, z własnej inicjatywy lub zarządzeniem wyższych organów, narusza prywatność.

Jako ten, który regularnie uczestniczy w zabawach w Ondruszkowicach i, niestety, oddaje się także innym nałogom, wydałem już o sobie w tej opowieści, moi drodzy, świadectwo, że z wyjątkiem mąk i kryzysów twórczych nie posiadam zbyt wrażliwego wnętrza, dlatego bez większych oporów dostosowuję się do różnych sytuacji. Świadczy o tym również fakt, że na Pierwszego Maja bez skrupułów paradowałem jak jakaś alegoryczna postać w stroju narciarskim, żeby wraz z innymi wystąpić pod trybuną w jednej z uniwersyteckich dyscyplin sportowych, którą nigdy nie zajmowałem się na małoichniańskim nizinnym terenie.

Teraz – dość paradoksalnie – chciałem za pomocą tych negatywnych cech charakteru obronić człowieka, co do którego przypuszczałem, że o wiele gorzej i dotkliwiej niż ja zniesie to, co trzeba w tej sytuacji zrobić.

I faktycznie, nie myliłem się. Aleksander Kiryłowicz zostawił mnie z całą tą agitacją na ulicy Żniwnej, jedynie mi towarzysząc.

Moje zadanie nie było zupełnie proste. Musiałem uważać na swojego towarzysza, na tych, których zapraszałem na pochód pierwszomajowy, i na niewidzialne, niebezpieczne moce, które skrywały się za tą sytuacją i za całym czynem społecznym. Czerpałem wówczas ze swoich doświadczeń literackich i prozatorskich, balansując w zależności od okoliczności i tego, co zdradzała twarz najemców, pomiędzy luźnym, przyjacielskim, dość dowcipnym a poważnym, oficjalnym sposobem mówienia i przekonywania.

W trzech czy czterech mieszkaniach trzeba było wymyślić bezradnym mieszkańcom jakieś zobowiązanie. Stwierdziwszy, że nie są to entuzjaści ani fanatycy, zalecałem w ramach zobowiązania poprawę tego, co na zamkniętym podwórzu kamienicy czynszowej było już gotowe i w niewielkim stopniu sprawdzalne, albo proponowałem w ramach czynu społecznego takie rozwiązania, które można było najłatwiej opisać na potrzeby sekretariatu prorektora.

Aleksander Kiriłłowicz Żuprej niewątpliwie był mi za to wszystko wdzięczny, lecz jako człowiek dyskretny i zamknięty w sobie nie powiedział mi tego wprost. Widocznie nie chciał wracać do mojego wymuszonego występu teatralnego, komedianckiego i cyrkowego, a wdzięczność wyraził zgodnie ze swoim usposobieniem, zapraszając mnie na kolację do luksusowej restauracji.

Nie wracaliśmy więcej do agitacji, ale zadowolony, że cała akcja przebiegła gładko, miałem ochotę opowiedzieć swojemu wzniosłemu, trochę chłodnemu, zachowującemu arystokratyczny dystans towarzyszowi, co nam się przytrafiło, kiedy rok wcześniej agitowaliśmy z docent Kuzmiszinową na sąsiedniej ulicy Fabrycznej. Jednak z uwagi na zacięcie pedagogiczne Aleksandra Kiriłłowicza, jego sposób bycia i fakt, że dopiero zaczynaliśmy się poznawać, nie wspominałem o tym epizodzie ani słowem.

Pozwólcie zatem, *gosudari*, żebym chociaż wam opowiedział przygodę, która przydarzyła nam się na ulicy Fabrycznej. Choćby dlatego, że docent Kuzmiszinowa była zupełnie inna niż Aleksander Kiriłłowicz. Przyznam się, że z trudem słuchałem, jak nauczycielka akademicka deklamuje przed drzwiami każdego mieszkania ten sam wyuczony, ornamentalny tekst będący mieszaniną fraz i podniosłych, pełnych entuzjazmu słów, kończących się jeszcze przed reakcją mieszkańców kilkukrotnymi podziękowaniami za zobowiązanie i udział w pochodzie pierwszomajowym. Tak to wyglądało, dopóki w drzwiach jednego mieszkania nie zjawiła się na wpół naga, pijana trzydziestolatka, najwyraźniej uprawiająca ciężką atletykę, która kilkoma mocnymi pociągnięciami, jakimiś grecko-rzymskimi chwytami zapaśniczymi pociągnęła, ba, wprost zaciągnęła nas do swojego zapijaczego i zadymionego mieszkania. To dziwne, bo przecież docent Kuzmiszinowa to postawna, korpulentna kobieta, a ja wcale nie jestem osobą, która łatwo poddaje się manipulacji. Być może atletka zatrzymała się w martwym punkcie, bo nie miała się z kim napić i potrzebowała towarzystwa. Na tapczanie bezwładnie leżał na wpół żywy mężczyzna, od którego czuć było alkohol. Zabiła swojego partnera, przemknęła mi przez głowę jakaś dziwna, lecz nieco rozluźniająca myśl, i nie ma z kim pić. Kiedy wreszcie udało nam się wydostać z mieszkania i pozbyć się jej napraszającej się, alkoholicznej gościnności, pojawił się problem z moją pięćdziesięcioletnią towarzyszką. Opętała ją paniczny strach, jakie skutki może mieć ten incydent w razie ewentualnej kontroli z uniwersytetu. Na próżno próbowałem ją uspokoić, argumentując, że przecież nie mogliśmy nic zrobić. W bezpiecznej odległości od inkryminowanego mieszkania analizowaliśmy różne rozwiązania zaistniałej sytuacji. W pewnym momencie docent Kuzmiszinowa zgodziła się na wariant sfinansowanego zobowiązania, ale chwilę później przestraszyła się tej alternatywy. W końcu uzgodniliśmy, że pominiemy milczeniem to, co się stało, i napiszemy,

że nikogo nie zastaliśmy, przecież nie wszyscy muszą być o tej godzinie w domu. Po pewnym czasie docent Kuzmiszynowa zaczęła się niepokoić. Nie potrafiła się już skupić na agitacji w innych klatkach, musiałem przejąć zadanie zapraszania na pochód pierwszomajowy wraz z wezwaniem do przyjęcia przy tej okazji jakiegoś postanowienia.

Wróćmy jednak, moi drodzy, do Aleksandra Kiryłłowicza Żupreja. Zaliczał się on do powściągliwych, nieco dumnych, a jednocześnie płochych osób, do których nie sposób dotrzeć przy pierwszym spotkaniu. Jak już wcześniej wspominałem, mój o cztery lata starszy towarzysz traktował trzeźwo, bez szerokiego gestu i pochwał to, iż z powodu jego wrażliwości i bezbronności sam przeprowadziłem całą agitację. Akceptował moje zachowanie, ale nie uważał, że zasługuje ono na specjalny, a tym bardziej bezpośredni i bezwarunkowy podziw. Przejawem sympatii i docenienia z jego strony było dla mnie to, że nasz kontakt nie urwał się po jednorazowej, okazjonalnej kolacji, lecz zaowocował kolejnymi spotkaniami.

Ich głównym tematem była kultura stołowania. Wszystko zaczęło się w momencie, kiedy dyskretnie, choć otwarcie, zwrócił mi uwagę, że jem zbyt szybko, a przede wszystkim, że organizm wysyła informację o sytości po czasie, w którym osoby spożywające posiłek łapczywie – zamiast tego słowa, jak przystało na człowieka dyskretnego, użył wyrazu „dynamiczny” – a zatem: kiedy osoby jedzące dynamicznie przyjmą nadmierną ilość pożywienia.

Od tego stwierdzenia przeszedł do wielu innych spraw. Nie zabrakło wśród nich uwagi, przy której przed oczami stanął mi obraz rzeźnika z zabawy w Ondruszkowicach, a konkretnie pewien szczegół jego twarzy, nalanej od złej pogody i nadmiernego spożywania alkoholu kiedyś w przeszłości. W chwili, kiedy Aleksander Kiryłłowicz powiedział, że zgodnie z francuskim bon tonem w towarzystwie należy ścierpieć resztki jedzenia w jamie ustnej i nie należy używać wykałaczki, przed oczami stanęło mi wiele sytuacji, w których najważniejszy ondruszkowicki gość i wielmożny pan wybiera spomiędzy zębów coraz to nowe, niewielkie, denerwujące resztki mięsa za pomocą zaostrzonych w szpic zapatek. Jeśli jedzenie utknie między zębami, mówił Aleksander Kiryłłowicz, i nie sposób wyciągnąć go językiem, należy opuścić swoje miejsce i rozwiązać ten problem w odosobnieniu.

Być może mojego towarzysza nie miał kto wysłuchać, bo podczas naszych spotkań stopniowo tracił pełną rezerwy, niekiedy nużącą milkliwość i coraz bardziej szczegółowo opowiadał o sprawach, dla których, jak pewnie przypuszczał, znalazł we mnie odpowiedniego, uważnego i przytakującego słuchacza. Zresztą nie tylko przytakującego, lecz także notującego.

Ze wstydem muszę jednak przyznać, że moje notatki miały zupełnie inny charakter i kierunek, niż sądził.

Jak to wyglądało? Kiedy Aleksander Kiryłłowicz, powołując się na klasykę sztuki gastronomicznej, Anthelme'a Brillat-Savarina, przypominał zasadę, w myśl której liczba zaproszonych gości nie powinna przekroczyć dwunastu, żeby wszyscy mogli uczestniczyć w rozmowie, i powiedział, że goście nie powinni się rozchodzić przed jedenastą,

ale o północy powinni być już w domu, wyjąłem swój notes i pod pozorem robienia notatek o poszczególnych kwestiach, ich motywacji i innych sprawach, zacząłem zapisywać to, do czego zainspirowały mnie słowa Aleksandra Kiryłowicza.

Stworzyć straszliwy obraz trzynastego gościa, zapisywałem hasłowo, który tam, gdzie wszystko do siebie idealnie pasuje, wnosi nieoczekiwane napięcie niczym w filmie grozy. Trzynasty gość przychodzi tuż przed jedenastą i swoją budzącą strach obecnością uniemożliwia odejście tym, którzy o północy powinni być już w domu. Przemysłem i rozwinąć!

Tak samo postępowałem w innych przypadkach.

Nie oznacza to, że nie czerpałem ze słów Aleksandra Kiryłowicza żadnej życiowej nauki albo nie zapamiętałem takich drobnostek i szczegółów, którymi mógłbym kiedyś zaskoczyć ewentualną partnerkę. Jednak jego opowieści zamierzałem wykorzystać głównie literacko, co biorąc pod uwagę fakt, iż nie był on tego świadomy, nie przynosi mi chluby. Ale o tym już mówiłem. Przedziwna materia, której ekstrawagancką dokładność, wyczerpanie tematu i *novum* odbierałem z pozycji małoichniańskiego plebsu i ondruszkowickiego obżarstwa, przynosi mi dużo radości i liczne, w dużej mierze groteskowe impulsy.

Prawdą jest, że trochę, a wcale nie było tego mało, zapisywałem słowo na słowo, na przykład to, kiedy Aleksander Kiryłowicz powiedział, że według Anthelme'a Brillat-Savarina menu bez sera jest jak piękność bez oka, mogłoby zabrzmieć w prozie pisanej z pozycji człowieka niewtajemniczonego bardzo przyjemnie i komicznie.

Inne notatki z kolei miały z tym, co mówił, wspólny jedynie temat stołowania, który dzięki Aleksandrowi Kiryłowiczowi w tym czasie tak mnie pochłoniął, że zajmowałem się nim także poza naszymi spotkaniami. W akademiku napisałem w swoim notesie na przykład:

„Zastanowić się nad epizodyczną postacią, która mówi, że Francuzi potrafią zabawiać się przy jedzeniu z każdą kosteczką, wkładając do ust maleńkie kawałki mięsa, konwersując po francusku”.

Aleksander Kiryłowicz zwykle wiódł monologi, jego wcześniejsza milkliwość zupełnie znikła. Dopuszczał mnie do słowa jedynie przy krótkich pytaniach, które z powodu swej zachłanności literackiej były wycelowane w różnego rodzaju osobliwości i szczegóły. On jednak uważał je za przejaw szczerego zainteresowania problematyką stołowania. Nie wyraził wprost swego zadowolenia z mojego zachowania, lecz dał mi to do zrozumienia, wykonując różne gesty, a wznosząc kieliszek, rzekł:

„À votre santé!”.

Chciałem mu się jakoś zrewanżować za tę przychylność, powiedziałem więc, że, moim zdaniem, stołowanie jest blisko spokrewnione z kulturą w ogóle, a zwłaszcza kulturą komunikacji. Świadczy o tym fraza „nie zakrywać ust serwetką”¹. Zamierzałem kontynuować interpretację tego tematu, on jednak, pochłonięty zakresem i detalami swoich rozważań, nie był przygotowany, by skupić się na moich poglądach i teoriach. Oczekując tylko pytań, prawdopodobnie nie wysłuchał jak należy tego, co powiedziałem o serwetce.

¹ Mówić wprost, bez ogródek (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

W jakimś kontekście wspomniał o specjalnych przyrządach, którymi wyciąga się ciało ślimaka, a następnie za pomocą widelca koktajlowego macza się w sosie maślanym, zacząłem się zastanawiać, czy Aleksander Kiryłowicz nie odbył w swoim życiu jakiegoś kursu kulinarnego lub kelnerskiego. Nigdy nie zbliżyłem się do niego na tyle, żeby móc otwarcie o to zapytać. Choć spotykaliśmy się, zachowywał wobec mnie dystans, wynikający pewnie z jego wychowania i charakteru. Jak tylko odrzuciłem wariant kucharski i kelnerski, zacząłem zadawać kolejne pytania.

Może jego drobiazgowość znajomości kultury ma w dużej mierze teoretyczne podstawy. Przyszło mi to do głowy, kiedy zaczął rozwijać zagadnienie relacji między językiem a jedzeniem. Odwołał się także do dramatu Guilherme Figueiredo *Lis i winogrona*. Analizował w nim sytuację, w której genialny niewolnik Ezop pod groźbą ciężkiej kary musi przynieść na polecenie swojego pana i nieograniczonego władcy najlepsze i najgorsze jedzenie na świecie. W obu przypadkach przynosi język, ponieważ wymawiamy nim słowo „matka” i rozkaz „obys zginął” oraz inne dobre i złe słowa.

Język i jedzenie, mowa i spożywanie jako fundamentalne pierwiastki bytu ludzkiego związane z jamą ustną, stały się później przedmiotem obszernego wykładu Aleksandra Kiryłowicza.

Ponownie chciałem się przyczynić do jego interpretacji za pomocą analizy eksplicitu powieści, w którym pojawia się wizualna gra słodkiego jedzenia i słodkich słówek.

Aleksander Kiryłowicz tym razem również nie słuchał mojego wywodu i, zanim dokończyłem to, co chciałem jeszcze rozwinąć, wykorzystał krótką pauzę, by podnieść i z zaangażowaniem zacząć prawić o zupełnie innych sprawach. Kiedy doszedł do zależności między jedzeniem i użębieniem, a konkretnie do tego, że podczas mycia zębów należy zasadniczo wykonywać szczoteczką ruchy pionowe, a nie poziome czy ukośne, zawładnęło mną podejrzenie, czy jego brak skupienia na mojej wypowiedzi o grze słodkiego jedzenia i słodkich słówek nie wynikał między innymi z przemyśleń o sposobie czyszczenia mojego, trochę zaniedbanego, użębienia.

„À votre santé!”. Aleksander Kiryłowicz podniósł kieliszek. W tym geście spłynęło ze mnie całe napięcie i pewne rozczarowanie wywołane niezdolnością mojego towarzysza do skupienia się na czym innym niż pytania. Powiedziałem sobie, że będę go brał takim, jaki jest. Przystałem rozważać ironiczną pokusę podzielenia się z nim swoimi przemyśleniami i poglądami w intonacji pytającej lub poprzez stawianie pytań retorycznych, czyli w sposób, na który jego receptory są w stanie zareagować.

Nagle zrobiło mi się go żal. Być może wszystkiego, o czym mówił, zaznał na własnej skórze za życia swojego ojca w Petersburgu, być może i on siadywał jako jeden z dwunastu gości za dużymi, pięknymi stołami w luksusowo oświetlonych pokojach stołowych przyjaciół rodziny, a także w domu, w willi, w której do dziś mieszka ze swoją matką.

Jaka ogromna przepaść dzieli jego klitkę na wydziale i przestronną, wygodną sześćdziesięcio- czy osiemdziesięciocentymetrową przestrzeń, którą zgodnie z zasadami należy zapewnić każdemu z dwunastu gości zasiadających przy stole.

Później przyszło mi do głowy coś, co musiałem natychmiast zapisać. Aleksander Kiryłowicz mówi, ja otwieram notes, kiwam głową, jakbym zamierzał zapisać to, o czym właśnie opowiada, ale w rzeczywistości piszę, że od czasu, kiedy przestłuchiwały go tajne służby, stał się na wydziale trzynastym gościem. O jego pozycji świadczy klitka. Podobna do tylnej izby w wiejskim domu, która należy do tych, których nie bierze się już pod uwagę na przyszłość.

Przy Aleksandrze Kiryłowiczu okietknałem swój język i odnalazłem się w rodzimej tradycji milczenia.

Aleksander Kiryłowicz, lingwista i miłośnik kultury stołowania, nie był jednak jedyną osobą, przy której zamieniałem się w słuchacza. Podobnie wyglądał kontakt z Mironem Mironowiczem Wuberem, Fedorem Karłowiczem Banem, a także pewnym kolegą z drugiego roku, który zaprosił mnie i mojego współlokatora na pożegnalny obiad.

Byliśmy wtedy studentami pierwszego roku.

W tym czasie w kontaktach z ludźmi nie używałem jeszcze imienia ojca ani nie mówiłem per „pan”, dlatego dwa lata starszego ode mnie kolegę, którego nie może zabraknąć na ciemnych kartach historii tutejszego wydziału i uniwersytetu, zawsze będę nazywał tak, jak nazywali go wszyscy studenci: Boro. Miałem już wtedy za sobą incipit *Dwunastu krzesel*, a wraz z nim zainteresowanie dziwnymi postaciami i niezwykłymi sytuacjami, słowem: wszystkim, co mogłoby się stać przedmiotem moich prób prozatorskich i obserwacji. Jak tylko poznałem Bora, nabrałem pewności, że taki człowiek prędzej czy później musi się pojawić na stronach mojego prozatorskiego notatnika. Miał świetne zdolności improwizatorskie. Na jednym z egzaminów przez dziesięć minut płynnie i swobodnie odpowiadał na pytanie dotyczące zagadnienia, o którym nie wiedział prawie nic. Kiedy skończył i chciał przejść do następnego pytania, egzaminator powiedział: „po tej brawurowej improwizacji przejdźmy do rzeczy”. Wtedy Boro uczciwie przyznał się do przegranej. Podziękował egzaminatorowi i umówił się na poprawkę. Jego zdolności improwizatorskie i ciekawą barwę głosu wykorzystywało również miasto. Powierzyło mu, zgodnie z ramowym scenariuszem i w oparciu o uprzednio przygotowane informacje, zadanie komentowania uroczystości pierwszomajowych z podwyższenia niedaleko trybuny. Dla osób, które śledziły zawody w piłce ręcznej na boisku Jana Jiskry z Brandysa, komentował z kolei przebieg spotkań pierwszoligowych, więc każdy, kto kupił bilet, mógł nie tylko widzieć mecz, lecz także, dzięki Borowi, usłyszeć go z głośników. Mój współlokator był dobry w grze w szczypiorniaka, regularnie trenował, ale nie wszedł jeszcze do pierwszej ligi. Boro mu obiecał, że jeśli się to stanie, to wykorzysta swoje zdolności i zasugeruje kibicom, że to najlepszy gracz.

Zaliczał się do osób, które – jak mawiał – z powodu swojej gościnności i wesółkowości w ciągu krótkiego popołudnia i jeszcze krótszej nocy potrafią przepuścić sporą sumę pieniędzy, zbankrutować, wdepnąć w bagno dzięki swojej głęboko zakorzenionej wspaniałomyślności. Z takim charakterem i umiłowaniem ludzi często trzeba zaczynać dzień, a nawet całe życie od zera. Wypełnia szkolne obowiązki, a później za niewielkie pieniądze oferuje swoje usługi. Właśnie tak. Nieraz prawie za darmo – raz za paczkę

papierosów, innym razem za dwa kieliszki rumu lub, wstyd się przyznać, nawet za butelkę jabola – przekazuje co majątniejszym studentom i studentkom instrukcje, jak poradzić sobie z tematem referatu bez męczącego czytania całej bibliografii, poprawia źle wystylizowane i ukradzione fragmenty lub, w ramach doradztwa, opowiada zainteresowanym, za pomocą jakich środków językowych wypełnić przy egzaminie mniejsze lub większe dziury w wiedzy. Dodatkową opłatę pobiera za rady w zakresie wy mówek.

Dość dobrze zarobił w zespole osób piszących pracę dyplomową pewnemu Boledowiczowi, zamożnemu, a zarazem bardzo wygodnickiemu i lekkomyślnemu studentowi piątego roku. Cała impreza zaczęła się o osiemnastej w pokoju numer 216 od uroczystego przecięcia wstęgi. Na dwa tygodnie przed oddaniem pracy dyplomowej wstęgę przeciął sam Boledowicz, wklepał na maszynie do pisania jedną literę i zostawił ciężko zapracowany zespół zaopatrzonego w smakołyki, papierosy i alkohol. Sam wybrał się świętować z wybraną grupką towarzyszy pomyślne rozpoczęcie tego wydarzenia naukowego. Kiedy naszedł czas, praca dyplomowa była gotowa. Dzięki temu Boledowicz uczy obecnie w szkole średniej w Popradzie.

Boro, *gosudari*, był solowym gawędziarzem, który swoimi przeżyciami, improwizacjami oraz zdolnością wymyślania potrafił skupić na sobie uwagę i zyskać posłuch niemal wszędzie, gdzie się pojawił. Podobnie jak później w towarzystwie Aleksandra Kiryłowicza, w jego obecności także musiałem zrezygnować ze swojej gadatliwości i powrócić do swojskiego milczenia.

Kiedy patrzę na to teraz, z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że wiele nauczyłem się dzięki ekscentrycznemu uniwersytetowi, zwłaszcza od tych, którzy ze względu na swą gawędziarską naturę i chęć dominacji zmusili mnie do milczenia, słuchania i obserwacji. Czasami wydaje mi się nawet, że to właśnie oni dali mi najwięcej bodźców do opowiadania. Z tego by wynikało, że milczenie i mówienie to dwie strony medalu i że opowiadanie bez milczenia, obserwacji i refleksji łatwo zamieniłoby się w to, co można nazwać – proszę mi wybaczyć aroganckie określenie – czczą gadaniną. Być może wszystko to wygląda banalnie i zbyt oczywiście, ale ja, szanowni państwo, w tej chwili odczułem potrzebę wyjaśnienia swoich doświadczeń i nie unikam, tak jak przy interpretacji uroczystości, przekonania, że mówienie płodzi nowe poglądy. Mimo to rytm opowiadania i milczenia, choć niewidzialnego, wydaje mi się najlepszą obroną przed lekkim, niczego niewnoszącym i bezsensownym mówieniem.

Wróćmy jednak do Bora. W odróżnieniu od Aleksandra Kiryłowicza Żupreja, tego w istocie cichego i milczącego człowieka, którego zainteresowanie tematem pochłaniało i zamykało w sobie, Boro w zależności od potrzeby potrafił być także dobrym słuchaczem. Później to wykorzystywał, ba, na informacjach, które pozyskał, słuchając swoich rozmówców, oparł swoją poniekąd hochsztaplerską strategię.

Jak tylko usłyszał przygodę z incipitem *Dwunastu krzesel* i wybrał moją fascynację literaturą, a zwłaszcza rosyjską literaturą XIX-wieczną, często powracał do tego tematu.

Tak, powiedział. Rosyjska literatura XIX-wieczna. Coś przepięknego! Wyjątkowego! Choć to właśnie z niej miałem egzamin poprawkowy. W pierwszym terminie zdradziła

mnie intuicja. Egzaminował mnie Sziposz. Jego specjalnością jest śledzenie, czy odpowiadający przeczytał lektury obowiązkowe. Tysiące stron. Skupia się na drobiazgach. Zapytał mnie o kolor powozu, którym jechała pewna rozgoryczona postać. Zaraz jeszcze coś dodaje, ale sens jego słów ginie w kaszlu. Nie będę pytał, o co chodzi. Sziposz to cherlawy, chowający urazy człowiek. Moje pytanie uznałby za prowokację. Do koloru powozu jeszcze wrócę. O postaci, która nim jechała, wiem co nieco, ale z własnej lektury jej nie znam. Ale teraz to nie ma znaczenia. Przy tym pytaniu czytanie i tak by mi nie pomogło, bo zwykle nie przykładam wagi do kolorów tego świata i kolorów świata fikcji. Nie jestem kobietą. Ale potrafię sobie wyobrazić sytuację, że mruję oczy i widzę zieleń. Odpowiadam więc, że zielony. Od kolorów przeszedł do bardziej sensownych pytań. Na nich też mi się noga powinęła. Ach, Sziposz, Sziposz! Jakim trzeba być fanatykiem, żeby pytać o kolor powozu, mówię do siebie, ruszając po egzaminie na żalobny kielonek w podrzędnym lokalu. Tylko po to, żeby stwierdzić, czy wyzyskiwany w ten sposób student przeczytał utwór? Ma astmę i tendencję do wyżywiania się na innych za swoją chorobę.

A po rosyjsku trudniej improwizować. Problem jest też z akcentem. Tak zwana totalna redukcja, jak nazywał ją docent Dzurnik, nieźle mi wychodzi, totalna redukcja jest moją silną stroną. Nigdy nie mówię *tak skazać*, lecz *taskać*. Ale na egzaminie u Sziposza, nawet gdybym pięć razy zastosował totalną redukcję, na nic by się to nie zdało, jakby go w ogóle nie obchodziła totalna redukcja, jakby całą jego uwagę pochłaniał wyłącznie kolor powozów.

Cóż, na termin poprawkowy musiałem się porządnie przygotować. Zaczęć czytać. Z początku w ogóle nie trafiłem na kolor powozu. A jak już trafiłem, zapisywałem. Czytam, czytam i zapominam o wszystkich kolorach, tak mnie to wciąga. Zbliży się termin egzaminu poprawkowego, a ja nie przeczytałem jeszcze nawet połowy tego, co było zadane. Muszę sobie załatwić zwolnienie lekarskie i pójść na egzamin dwa tygodnie później. Nie mam znajomego lekarza, pochodzę z ucziwej, zdrowej rodziny, najpierw muszę sobie załatwić chorobę. Rozbieram się do pasa i spaceruję pod gwiazdami po naszym zimowym sadzie, chłonąc ciałem mróz, który w dziwnym procesie biologicznym zamienia się w temperaturę zwaną gorączką. Trzydzieści siedem i sześć. Wystarczyło, ten lekarz to pocziwina. Tak oto, z przymusu polubiłem rosyjską literaturę. Wiele się z niej dowiedziałem. Tańcząc z pewną panią, improwizuję *Tęsknotę* Czechowa. Zupełnie się rozkleiła. A ja razem z nią. Później to była moja metoda. Doprowadzić kobietę do płaczu w tańcu. Jak tylko udało mi się to z jedną, ładną, o powabnej sylwetce, taki atletyczno-gimnastyczny typ, zaczęła ze mną chodzić. Na pierwszej randce znów zażądała *Tęsknoty*. Ale wtedy już nie płakała. Obydwoje byliśmy trzeźwi. Łatwiej się rozplakać, jak się człowiek trochę napije. Po dwóch miesiącach mnie zdradziła. Najpierw ja ją. Ale tylko trochę. Matką, głupią, pijacką niewiernością. A ona mnie zdradziła na dobre. Nieodwołalnie. Nie chciała więcej o mnie słyszeć. Straszne! Później zacząłem chodzić z następną. Zaręczyłem się z nią, a ona cynicznie opuściła mnie bez uprzedniej zdrady. Wróciła do jakiegoś byłego. Wspominam te chwile i ogrania mnie żal. Żal i zaduma. Moja sytuacja stała się na tyle trudna, że w ogóle nie podchodziłem do zaliczeń. Nie mówiąc już o egzaminach.

Sama gramatyka, tak odległa od moich aktualnych problemów uczuciowych. Przenoszę się na dwuletnie. Tam będę gwiazdką. Pierwszy rok mi przepiszą.

Ale chcę się pożegnać. Was obu zawsze lubiłem. Jednego jako Rosjanina, a drugiego jako szczypiornistę. Między innymi, naturalnie! Dlatego zapraszam was na pożegnalny obiad.

Obiad będzie uroczysty. Rosyjski, oczywiście! Na twoją, spojrzaj na mnie, i na moją cześć. I na cześć szczypiornisty. Przecież on też jest rusycystą. Zaczniemy od barszczu. A wcześniej aperitif. A po nim przystawka. Szcypiornistom też się przyda *Tęsknota*. Dzięki niej grają delikatniej, bardziej precyzyjnie. Tak to jest. Piłka trafia w siatkę bez użycia nadmiernej siły. Lubię literaturę rosyjską. Bardzo mi pomaga w życiu. Czasami przypisuję Czechowowi, Korolence, Ostrowskiemu, Sałtykowowi-Szczedrinowi czy Puszkiniowi własne myśli. I na odwrót. W ten sposób dodaję swoim poglądom wyjątkowej wagi. I dumy. Przyjemnie patrzeć, jak ludzie szanują wasze poglądy, kiedy prezentujecie je pod egidą przedstawicieli literatury rosyjskiej. Jeszcze do niedawna, zanim życie zadało mi cios, lubiłem wszystko analizować. Smutki, radości, dni, miesiące i lata. Czas względny i absolutny. I przestrzeń, a jakże!

Obiad, *gosudari*, był rzeczywiście uroczysty. Aperitif. Przystawka. Zupa. Danie główne. Deser, kawa, wino. Tak samo było na przysiędze wojskowej w Litomyślu, tyle że bez aperitif, wina i kawy. I jeszcze jedna kwestia. Litomyśl, podobnie jak Boro, znał tylko zimne przystawki. Na ciepłe przystawki, które podaje się do zupy, zwrócił mi uwagę dopiero Aleksander Kiryłowicz Żuprej.

Po deserze i kawie piliśmy wytrawne wino. Zawsze mnie to fascynowało, powiedział Boro. Dlaczego wytrawne, skoro nie trawi jak kwas, lecz działa jak balsam. Między innymi ten sekret sprawił, że je polubiłem. Taki mam charakter. Pociągają mnie sprzeczności. Także wytrawność i jej przeciwieństwo.

W ten sposób zawieram znajomości. Jak tylko nawiążę kontakt z jakąś ładną i rozmowną kelnerką, zaraz pytam o wytrawne wino. A ona, zamiast odpowiedzieć, uśmiecha się. Dobrze wie, że nie chodzi o wino, lecz o co innego. Uśmiecha się również dlatego, że nie ma pojęcia o wytrawnym winie.

Pewnego razu trafiłem na człowieka – winiarza, który opowiadał o winie co najmniej godzinę. Niczego nie zrozumiałem, bo nawet go nie słuchałem. Nie interesowało mnie to i nie chciałem, żeby ktokolwiek zburzył wspaniałe oksymoron, na który lecą kelnerki i inne kobiety. Oczywiście. Cukier, niecukier, mówię sobie, gadaj zdrow, chłopcze, ja i tak niczego nie pojmuję.

Jako że jesteśmy na obiedzie pożegnalnym, powiedział Boro po dwóch litrach wytrawnego wina, powinienem was objąć. Ale tu? W lokalu takiej kategorii? Obejmiesz kogoś i masz na karku stróżów porządku. Zwłaszcza gdy wyglądasz młodo, niedojrzałe. Każdy sobie pozwala. Tak to już jest. Napijmy się jeszcze wina. Jak się to mówi. Tak mi dobrze w duszy, przyjaciele, was i wasz pokój polubiłem szczególnie. Odejdę, a życie będzie się toczyć dalej.

Tak to jest. Chcesz się pożegnać, a nie masz z kim. Ciężko człowiekowi na duszy.

Dzięki wam! Kiedy wszystko już zjedliśmy i wypiliśmy trzy litry wytrawnego wina, poszedł do ubikacji, a po powrocie powiedział:

W toalecie okazało się, że nie mam przy sobie pieniędzy. Zdarza się. Raz gubię pieniądze, innym razem – podekscytowany – zapominam. Pelen emocji i smutku. Mam przyjaciół, ale to już wytrawni gracze i, szczerze mówiąc, oszuści, którzy już nie bywają w restauracjach, jadają na stołówkach albo w domu, bo w każdej restauracji mają dług za obiad. Ulegają nieznośnemu pragnieniu zjedzenia z kimś uroczystego obiadu, a ponieważ nikt ich nie zaprasza, to oni goszczą swoich przyjaciół i znajomych, choć groszem nie śmierdzą. Usprawiedliwia ich jedynie fakt, że mają to we krwi. W genach, jak to się mówi. Widocznie mieli bogatych przodków, którzy codziennie bywali choćby na jednym uroczystym obiedzie i jednej wykwintnej kolacji. Nie mówiąc już o odświętnych śniadaniach. I nagle wszystko się zmienia, bo jakiś hedonista, niewydarzone, zepsute i egoistyczne indywiduum przepuszcza cały majątek. Z jakąś pozbawioną morale kobietą, naturalnie! Dla rodziny nastaje czas biedy i mozolnego wiązania końca z końcem. Ale kodu genetycznego, programu, w którym we krwi potomków krąży pragnienie odbywania uroczystych obiadów, nie da się wypenić. Toteż biedni potomkowie zapraszają gości, spożywają wykwintne obiady, a następnie uprzejmie wzywają swoich towarzyszy do zajęcia się własnymi obowiązkami. Oni sami – kochający adrenalinę – pospiesznie opuszczają restaurację. Ale w jednej restauracji ten trik działa tylko raz. W dodatku w każdej chwili, nawet w najpiękniejszym słonecznym dniu, może się zdarzyć, że na ulicy poklepie ich po ramieniu główny kelner i powie: „jest pan winny za obiad”. A to wszystko w obecności zawstydzonej damy ich serca. Życie miłośnika uroczystych obiadów w małym miasteczku łatwo może się zmienić w życie wyrzutka.

Ja od stołu nie ucieknę. Spróbuję wyjaśnić kelnerce, tej ładnej brunetce, która pełni rolę głównej kelnerki, że przytrafiła mi się nieprzyjemna rzecz. Częściowo jako artysta, który większość czasu spędza na wędrownych myślami po romantycznych krainach, bliższy mu księżyc i gwiazdy niż dobra materialne, częściowo jako student, który całymi dniami żyje w XIX wieku, a później przeskakuje wprost w wiek XXI, w którym nie ma już pieniędzy ani klas, zapomniałem się i nie zabrałem ze sobą pieniędzy. W czasie też można zabłądzić. Zapłacę przy najbliższej okazji.

Jestem gotowy ponieść konsekwencje swego czynu, powiem kelnerce, jeśli nie będzie dostatecznie wyrozumiała. Jedliśmy, piliśmy, a teraz do kryminału? W ręce bezpieki? Proszę! Niech pani dzwoni gdzie trzeba! Jesteśmy studentami. Biedakami, którzy pomylili czasy. Chcieliśmy się pożegnać, zjeść coś, wypić za zdrowie. Za radość na świecie. Ukarzcie nas za to. Przed waszymi bagnetami, lufami i nienawiścią rozerwiemy koszule! Przed egzekucją zaśpiewamy pieśń wydziedziczonych. Tu jesteśmy, ludzie XXI wieku. Bijcie nas, prześladujcie, karzcie za to, że zabłądziliśmy w czasie. Że wyprzedziliśmy czas! Żyjemy w dalekiej przyszłości. A wy? W świecie przyziemnych, brudnych pieniędzy.

Tak się będę bronił, powiedział Boro, ale zamówmy jeszcze litr wytrawnego. W końcu zaprosiłem was na rosyjską ucztę, ale poza barszczem i wódką nie mieli tu niczego rosyjskiego.

A jak się to skończyło, moi drodzy? Boro, który wypił najwięcej wina, w alkoholowej euforii obudził w sobie aktora i improwizatora. I w końcu za wszystko zapłacił.

To, że zbankrutował, splukał się do cna, tym razem wcale go nie trapi. Wprost przeciwnie! Przeprasza za swoje niecodzienne zachowanie przy pożegnalnym obiedzie. Cóż, jest w towarzystwie literatów, jednego jawnego, rosyjskiego, drugiego ukrytego, przejawiającego zdolności pisarskie w technice gry. Niewielu szczypiornistów ma do czynienia z *Tęsknotą Czechowa*. Albo ze *Zbrodnią i karą*. Albo z *Podróżą z Piotrogradu do Moskwy*. Większość nie ma bladego pojęcia o *Śmierci Pazuchina* ani o Michale Sałtykowie-Szczedrinie, któremu on, Boro, przypisał niejedną swoją myśl. Tak to jest. Jak człowiek rezygnuje ze studiów, jak się przenosi na dwuletnie, gdzie będzie gwiazdorem, dobrze mu zrobi, jak sobie posiedzi z literatami i w praktyce sprawdzi historię o niezapłaconym rachunku, którą pewnego rzewnego wieczoru zarysował na pięciu stronach w reportażu. Zajmuje go obserwowanie, czy rzeczywistość potwierdzi to, co przelał na papier. Autor krótkiego szkicu może sobie na to pozwolić z literatami. Literaci lubią eksperymentować. Dobrze znoszą związane z tym napięcie. Przeciętni Rosjanie, a zwłaszcza szczypiorniści, którzy nie mają nic wspólnego z literaturą, mogliby wybuchnąć podczas eksperymentu. A później? Obrazić się na śmierć!

Naszła mnie chęć, żeby sprawdzić tajną kieszeń, czy pomimo bankructwa nie zostało w niej jeszcze na litr wytrawnego wina. Zostało.

Wiktor Pawłowicz chciał przeskoczyć od Bora do kolejnych czołowych przedstawicieli ciemnych kart historii uniwersytetu, a konkretnie do Adama Antonowicza Keslera, studenta trzeciego roku, który w obcym środowisku przedstawiał się jako doktor filozofii, a wśród swoich twierdził, że nie sposób się kształcić, jeśli się żyje ze studenckich obiadów. Wiktor Pawłowicz nie doszedł jednak do tego, co chciał powiedzieć o Adamie Antonowiczu Keslerze, nagle wszystko się urwało.

Kiedy czasami w chwilach samotności zastanawiam się, jak bez zbędnych emocji i poruszenia wyrazić to, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach na ekscentrycznym uniwersytecie, zawsze przychodzi mi na myśl cicha, małowówna, zasłuchana postać tekstowego narratora, który – zdaniem Wiktora Pawłowicza Bochnia – przytacza, śledzi, a miejscami również krótko komentuje wypowiedzi głównego narratora.

Zastanawia mnie to także teraz, w drodze do domu, w pustym przedziale, kiedy nie jestem w stanie zasnąć w przegrzanym pociągu pośpiesznym pędzącym z hukiem pośród lutowej nocy.

Podczas tej bezsennej nocy przypominam sobie, że narrator tekstowy, zazwyczaj jedynie słuchający, w odróżnieniu od mówiącego, jest zawsze obecny na scenie wydarzeń powieściowych, dlatego to do niego należą początki i końce.

Wczuwając się w jego szczególną rolę, rekapitułuję przebieg poszczególnych historii i wydarzeń. W swoich wspomnieniach zatrzymuję się przy tej urzekającej scenie, kiedy Wiktor Pawłowicz Bochnia, jako asystent w zawodówce, zaczyna analizować motyw kobiety i mężczyzny, opowieść o młodej, wrażliwej i dostojnej damie, w której zrzędzeniem losu zakochuje się ugrzeczniony, elegancki oficer z kwatery wojskowej w mirgorodzkich

koszarach. Wyobrażam sobie, jak wrzawa w klasie w jednej chwili ucicha, jak przestają fruwać papierki, ogryzki i inne drobne przedmioty, a uczniowie przenoszą uwagę na to, co się teraz stanie.

Ten przełom w mojej zabawie w tekstowego narratora przynosi decyzję o umieszczeniu na samym początku *Ekscentrycznego uniwersytetu* wieści, w której Wiktor Pawłowicz jako student drugiego roku prosi o rękę dwudziestosiedmioletnią piękność, Marię Petrowną Gołocznikową, asystentkę z katedry języka i literatury rosyjskiej. W samotności przegrzanego pociągu, do którego coraz częściej siłą wdziera się zamieć, przez co nie można sobie ulżyć nawet otwarciem okna, rozwijam pośpiesznie i fragmentarycznie opowieść Marii Petrowny, a doszedłszy do postaci swojego kolegi, Filipa Michajłowicza Habury, uświadamiam sobie, że Wiktorowi Pawłowiczowi, który przykładał wagę do pierwszych zdań, początków i incipitów, brakowało szczęścia przy zakończeniach i explicitach, nawet wówczas, kiedy przybierały formę, jak mawiał o Filipie Michajłowiczu, nadzwyczaj logicznego, dokładnego i konsekwentnie skomponowanego snu. Filip Michajłowicz, nasz cichy towarzysz z folklorystycznej wioski Cziczzejowce, już nie zostanie najmłodszym dziekanem w historii wydziału filologicznego, ponieważ już na pierwszym egzaminie powinęła mu się noga – nie zdał go nawet w ostatnim możliwym terminie dziekańskim.

Kiedy Wiktor Pawłowicz opowiadał o narratorze tekstowym, nie mógł jeszcze przypuszczać, na jakie nieprzyjemne obowiązki się naraża. Nie mógł przewidzieć, że doprowadzi go to aż do punktu, w którym, zgodnie z powierzoną mu rolą wprowadzającego, a jednocześnie w taki sposób, aby nie kłóciło się to ze stosunkowo luźno powiązaną główną linią fabularną, będzie musiał powiedzieć: Wiktora Pawłowicza Bochni nie ma już na ekscentrycznym uniwersytecie, z nim także ta instytucja akademicka niezdolna do przyciągnięcia pożądanej liczby kandydatów przedwcześnie się pożegnała.

Po tym, jak czasopismo „Student” z powodu jakichś aluzji i dwuznaczności odnośnie aktualnej sytuacji nie opublikowało tekstu prozatorskiego, zaczęły porównywać własną sytuację z cenzurą za cara.

– Weźmy, drodzy państwo – rzekł Wiktor Pawłowicz Bochnia – jako przykład choćby to, co mówi Czechow w *Sali numer 6* o tępym, prymitywnym strażniku Nikicie, który swoimi olbrzymimi pięściami i wszystkim, co wpadnie mu w rękę, bije chorych umysłowo po twarzy, klatce piersiowej, plecach, po wszystkim, czego dosięgnie. W jakim miejscu żyją ci biedacy? W sali, która zajmuje cały pawilon, śmierdzi skisniętą kapustą, amoniakiem, pluskami i w pierwszej chwili wydaje się, że to zwierzyńiec. W przedsieni na kupce leżą kalesony, stare zużyte płaszcze, wydeptane, zniszczone buty – wszystkie starocie są wymieszane, gniją i wydają duszący zapach. I tak dalej.

W konsekwencji moralnie za ten stan odpowiada reżym carski, który jednak pozwolił opublikować Czechowowi takie i temu podobne okropne świadectwa swojego istnienia.

Awanturniczy, pozbawiony dystansu rys dramatycznej osobowości Wiktora Pawłowicza Bochni ponizonego odmową publikacji doprowadził do tego, że dzielił się on swoimi refleksjami i związanymi z nimi kwestiami na wykładach i w miejscach publicznych.

Jak tylko mu przeszło, kiedy już się uspokoił i wrócił w swojej opowieści do cienistych kart historii ekscentrycznego uniwersytetu, konkretnie do postaci Adama Antonowicza Keslera, dziekanat wydziału zareagował na jego refleksje dotyczące cenzury w caracie zawiadomieniem, że on, Wiktor Bochnia, student wydziału filologicznego tutejszego uniwersytetu, nie gwarantuje odpowiedzialnego podejścia do wykonywania obowiązków wymaganych od przyszłego pedagoga. Wśród argumentów, z powodu których musiał opuścić wydział, była niewiarygodność, wykorzystywanie nazwiska ojca, osobliwe metody, znieważanie literatury rosyjskiej i ekscentryczne zachowanie.

Sprawa ta, z krótszymi i dłuższymi przerwami, jeszcze dość długo zaprzęta moje myśli.

Zasnąć udaje mi się dopiero przed siódmą, ale z obawy, że się zagapię i nie zdążę wysiąść, śpię niespokojnie, zrywam się co jakiś czas. Od czasu do czasu przebudzam się i w półśnie śledzę zaśnieżony nizinny krajobraz. W końcu jednak zasypiam mocno i tylko szczęśliwym trafem budzę się na krótko przed końcem podróży. Chwilę później w pośpiechu wysiadam z pociągu.

Mój przyjazd o nieruchomym, mroźnym poranku, kiedy wichura już zupełnie ustała, jest zupełnie inny niż poprzednie, w większości podwieczorne, jesienne i zimowe powroty. W ten mroźny, lutowy poranek czy właściwie wczesne przedpołudnie, zastaję w domu tylko mamę i tatę. Ojciec jak zawsze, kiedy wracam z ekscentrycznego uniwersytetu oddalonego o czterysta kilometrów, przemawia do mnie językiem swojej rodzinnej miejscowości, ale i językiem mojej rodzinnej ulicy, po prostu językiem, w którym początek wiąże się z końcem:

„Opowiedz wszystko po kolei, od końca”.

„Romboid” 2008, nr 1.



Zdjęcie Rast'o Čambál



Zdjęcie Rast'o Čambál